

Łosiewicz-Chmurowa, Zofia

Trwać i przetrwać

Przegląd Pruszkowski nr 1, 38-70

2001

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

by ucieszyć oczy widokiem stremowanych zdających, na zasadzie „jak to dobrze, że to nie ja”. Jeszcze jeden nader ważny powód pchał nas w progi budy, a mianowicie satysfakcja przekroczenia progu szkolnego w „cywilnej”, kolorowej, letniej sukience, a nie żadnym tam mundurku, który obrzydł nam przez minione dziesięć miesięcy dokumentnie.

I tu los zrobił nam brzydką kawał: nigdy już więcej nie włożyliśmy szkolnego mundurka, jak również nigdy nie przekroczyliśmy progu budynku przy ulicy Klonowej w charakterze uczennic.

Wakacje 1939 roku zakończyły ważny etap w życiu całej polskiej młodzieży, a także w egzystencji naszej szkoły. Do chwili wybuchu wojny Gimnazjum i Liceum im. Tomasza Zana ukończyło 196 osób, rekrutujących się ze wszystkich warstw społecznych Pruszkowa: inteligencji, robotników, rzemieślników i okolicznych rolników. Fakt zdobycia matury stanowił dla jednych szczyt życiowego awansu, dla innych otwierał zaledwie drogę do dalszego kształcenia się, zawsze jednak był poważnym osiągnięciem.

Wydaje się słusznym wyrażenie na tym miejscu uznania dla grona pedagogicznego naszej szkoły, że mimo ciężkich warunków, z jakimi borykano się - zwłaszcza w latach dwudziestych - utrzymany został wysoki poziom nauczania i wychowania młodzieży.

Zaszczepiono także zaniakom gorący patriotyzm i poczucie obywatelskiego obowiązku, czego dowody mieli niebawem złożyć.

TRWAĆ I PRZETRWAĆ

Lato w 1939 roku było piękne, toteż młodzież, wracająca pod koniec sierpnia do domów z wakacyjnego odpoczynku, była jak zawsze tryskająca radością życia, rozbawiona i pełna wrażeń.

Wprawdzie prasa i radio koncentrowały się głównie na zagadnieniu możliwości inwazji niemieckiej na Polskę, a „starzy” snuli różne hiobowe prognozy, ale w czym problem? Jeżeli Szokopy wejdą do Polski, to dostaną taką nauczkę, że popamiętają. Mamy świetną armię, jaki wspaniały duch panuje wśród naszych żołnierzy! A w dodatku nie jesteśmy sami, mamy sprzymierzeńców, którzy nie pozwolą na pogwałcenie naszej suwerenności, więc czym się tu przejmować?

Taki mniej więcej był tok rozumowania niemal całej polskiej młodzieży, wychowanej w duchu patriotyzmu i niezachwianej wiary w potęgę oręża, geniusz wodzów i trwałość sojuszków drugiej Rzeczypospolitej. Podobnie myślała także młodzież zaniacka, stanowiąca elitę młodej generacji Pruszkowa. Nic więc nie mąciło ich radosnego podniecenia płynącego z optymizmu zadufanych w sobie zielonych lat.

Patrzyli zatem z pobłażliwością na krzątanię matek, gromadzących zapasy żywności „na kilka dni” - w myśl zaleceń komunikatów radiowych, pomagali nalepiać na szyby krzyżujące się paski papieru, które miały chronić szkło okienne przed wypadnięciem w razie bombardowania - i brali nader chętnie udział w różnych ćwiczeniach z zakresu obrony przeciwlotniczej. Najbardziej cenionym przez młodzież strojem w tym czasie były mundurki harcerskie, uzupełnione - jeśli to było możliwe - torbą ze znakiem czerwonego krzyża przewieszoną przez ramię. Taki ekwipunek dawał właścicielowi poczucie, że jest w centrum wydarzeń, że jest jakby czymś w rodzaju żołnierza, że ma swoje obowiązki w obliczu ogólnych przygotowań do tego, co w młodej wyobraźni przybierało kształt romantycznej, wielkiej niewiadomej.

Jeszcze jedno zjawisko można było zaobserwować na ulicach miasta Pruszkowa podczas pełnych napięcia sierpniowych dni, poprzedzających wybuch wojny. Otóż od czasu do czasu, w różnych punktach miasta, padało nagle hasło:

- Łapać szpiega!

Oczywista nikt, komu kończyny dolne jako tako służyły, nie pozostał obojętny na takie wezwanie. Tłum, podekscytowany i wrzący gniewem biegł jakiś czas, poczem poszczególni jego uczestnicy wracali z minami niewyraźnymi i zawiedzionymi, relacjonując przebieg wydarzeń w tytu różnych wersjach, ilu uczestników liczyła pogoń za domniemanym szpiegiem. Chociaż owe pościgi, o ile mi wiadomo, nie przynosiły żadnych konkretnych rezultatów, były jednak szalenie popularne wśród młodzieży, która nader ochoczo demonstrowała zarówno swój zapał patriotyczny, jak talenty sprinterskie.

W sumie wszystkie nowe zjawiska w życiu codziennym, poprzedzające wypadki wrześniowe, odsunęły na dalszy plan zbliżający się początek roku szkolnego. A przecież zdawało się, że rozpoczęcie nauki we wrześniu jest równie naturalne i oczywiste, jak następowanie dnia po nocy. Zresztą stanowisko czynników oficjalnych podtrzymywało to przekonanie, gdyż jeszcze w drugiej dekadzie sierpnia do dyrekcji Gimnazjum im. T. Zana wpłynęło pismo z datą 18 sierpnia 1939 roku, w którym minister wyznał religijnych i oświecenia rozporządzał „...aby rok szkolny 1939/40 rozpoczęto dnia 4 września 1939 r. (poniedziałek) nabożeństwem szkolnym, a normalne zajęcia szkolne dnia 5 września o godzinie 8-ej rano”. Pismo w zastępstwie ministra podpisał S. Maciszewski - podsekretarz stanu.

Lecz w ślad za wyżej cytowanym nadeszło następne, noszące datę 26 sierpnia 1939 roku: „Niniejszym zawiadamiam, że data rozpoczęcia roku szkolnego 1939/40, wyznaczona pierwotnie na 4 września, ulega odroczeniu na kilka dni i zostanie ustalona osobnym zarządzeniem”. Ani pan minister W. Świętosławski, który pismo to podpisał, ani nikt w kraju nie wie-

dział jeszcze, że termin rozpoczęcia najbliższego roku szkolnego w wolnej Polsce nastąpi dopiero za pięć i pół roku.

Zachowane w aktach szkoły zarządzenie Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego z dnia 28 sierpnia 1939 roku nie wspomina nawet o terminie rozpoczęcia roku szkolnego, lecz jest w całości poświęcone sprawom związanym z obroną cywilną.

Zawiera instrukcje dotyczące obchodzenia się z gaśnicami różnego rodzaju oraz zaleca „...przerwać produkcję zastępczych maseczek przeciwgazowych, uruchomioną przez szkoły we własnym zakresie”. Jako powód tej decyzji podawano fakt, że „...produkcja tych maseczek we własnym zakresie powoduje zbyt duże, nieekonomiczne zużycie materiałów, a w szczególności cennego miazgu węgla aktywowanego”.

Nie udało mi się ustalić, czy Gimnazjum Zana prowadziło produkcję zastępczych maseczek przeciwgazowych, jak również brak jakichkolwiek danych na temat udziału szkoły w pracach społecznych poprzedzających Wrzesień. Zachował się jednak dokument potwierdzający udział pani Ostrowskiej, niezamordowanej i niezawodnej społeczniczki, w Obronie Przeciwlotniczej.

Dokument ów mianuje Stasię kierowniczką służby ratowniczo-sanitarnej na terenie bloku domów nr 8.

Wśród nielicznych dokumentów, dotyczących ostatnich przed wybuchem wojny tygodni, zachowała się w archiwum szkoły także lista płacy z 24 sierpnia 1939 roku, na podstawie której pracownicy Gimnazjum Zana otrzymali pobory za historyczny wrzesień. Listę płacy trudno wprawdzie uznać za źródło informacji, o jakim marzą piszący monografię, ale w tym przypadku jest ona przysłowiowym rakiem na bezrybiu. Nie mogę przeto oprzeć się pokusie zacytowania jej in extenso, zawiera bowiem obraz ostatniego przed wojenną zawieruchą składu ciała pedagogicznego naszej szkoły. Wśród osób, figurujących na wspomnianej liście, jest kilka nazwisk, których nie potrafię zidentyfikować. Rozszyfrują je - być może - koledzy, którzy dłużej ode mnie zasiadali w ławach Gimnazjum i Liceum Zana, mieli więc okazję dokładniej poznać zarówno ciało pedagogiczne, jak personel administracyjny szkoły.

1. Leon Ostrowski - dyrektor - nasz słynny „Baran”, matematyk.
2. Bronisława Budziszewska - matematyczka, „Bronia” - rozpoczęła pracę u Zana w roku szkolnym 1938/39, obejmując wychowawstwo klasy I A.
3. Franciszek Januszewski - polonista i łacinnik w młodszych klasach, w starszych prowadził propedeutykę filozofii, „Felek”.
4. Zofia Januszewska - germanistka, „Zosia”, małżonka Felka.
5. Stefan Jaczewski
6. Stanisław Moczulski - łacinnik, bardzo wymagający, na palcach jednej ręki można było policzyć w szkole tych, co mieli u niego piątki, na przekór niejako zwany „Tata”.

Opis

Minister
Wyznań Religijnych i Oświecenia
Publicznego

W a r s z a w a

Dnia 18 sierpnia 1939 roku

Nr II S-6217/39

Rozpoczęcie roku szkolnego.

Niniejszym zarządzam, aby rok szkolny 1939/40 rozpoczęto dnia 4 września 1939 r. /poniedziałek/ naborem w szkolem, a normalne zajęcia szkolne dnia 5 września o godzinie 8-ej rano.

w z. M i n i s t r a

Otrzymują:
Kuratoria Okręgów Szkolnych
Urząd Wojew. Śląski Wydz. Ośw. Publ.
Liceum Krzemienieckie.

/-/ S. Maciszewski
Podsekretarz Stanu

Kuratorium
Okręgu Szkolnego Warszawskiego
Warszawa

dnia 22 sierpnia 1939 r.

Okólnik nr 207.

Nr O-24939/39

do wiadomości i zastosowania się.

Za Kuratora Okręgu Szkolnego

J. Górecki
/I. Górecki/
Naczelnik Wydziału

Otrzymują:

Inspektoraty Szkolne,
Dyrekcje szkół średnich
ogólnokształcących, za-
wodowych i zakładów
kształcenia nauczycieli oraz
Klerownictwa szkół dokształ-
cających.

PAŃSTWOWE LICEUM I GIMNAZJUM
im. Tomusza Zana
w Pruszkowie

Otrzymało dn. 29/VIII.39

Nr 385

Nr G-799/39

Minister
Wyznań Religijnych i Oświecenia
Publicznego

Opis

W a r s z a w a
Dnia 26 sierpnia 1939 r.
Nr. II S-6371/39.

Rozpoczęcie roku szkolnego.

Niniejszym zawiadamiam, że data rozpoczęcia roku szkolnego 1939/40, wyznaczona pierwotnie na dzień 4 września ulega odroczeniu na dni kilka i zostanie ustalona osobnym zarządzeniem.

Minister
/-/ W. Świątoszawski

Otrzymują:

Kuratorie Okręgów Szkolnych
Urząd Wojew. Śląski/Wydz. Ośw. Publ./
Liceum Krzemienieckie

Kuratorium
Okręgu Szkolnego Warszawskiego

Okólnik nr 212.

Warszawa

dnia 28 sierpnia 1939 roku

Nr. O-25422/39.

do wiadomości i zastosowania się w związku z okólnikiem z dnia 22 sierpnia r. b. nr 207.

Inspektoraty Szkolne wydadzą dalsze zarządzenia Kierownictwom szkół powszechnych.

Kurator Okręgu Szkolnego

Otrzymują:
Inspektoraty Szkolne, Dyrekcje szkół średnich ogólnokształcących, zawodowych, zakładów kształcenia nauczycieli oraz Kierownictwa szkół dokształcających.

W. Ambroziowicz
/W. Ambroziowicz/

PAŃSTWOWE LICEUM I GIMNAZJUM
im. Tomaszka Zana
w Pruszkowie

Otrzymał dnia 29/08/39
Nr 389

N. G. 815/39.

7. Stanisława Ostrowska - polonistka, „Stasia”.
8. Roman Stefański - romanista, „Cebela” („...tobie cebelę na targu sprzedawać, a nie kaleczyć francuski język”).
9. Stefan Skroczyński - prowadził wychowanie fizyczne z chłopcami.
10. Emilian Skrzecz - ksiądz prefekt, wesoty, jowialny, z poczuciem humoru.
11. Jan Tomasik - matematyk, „Sznurek” vel „Szpagat”.
12. Mieczysław Warpechowski - historyk, „Pechower”.
13. Eugenisz Zdanowski - fizyk, „Hefajstos”.
14. Bohdan Zieliński - geograf, „Zielo” vel „Sokole Oko”.
15. Alojzy Fitkał - lekarz szkolny.
16. Halina Konszyn - stomatolog szkolny.
17. Zygmunt Kordiasz - prowadził roboty ręczne z chłopcami.
18. Krystyna Rokitnicka
19. Lidia Sembratowicz
20. Stanisława Jabłońska
21. Stanisław Gać - woźny „Stasio”, cieszący się powszechną sympatią wśród wychowanków szkoły.
22. Jan Poniewierski - woźny cieszący się umiarkowaną sympatią uczniów.

23. Józef Hoinka - chemik - zapisał się w pamięci zaniaków dopiero podczas okupacji jako człowiek wielkiej wiedzy i wielkiej dobroci. We wrześniu 1939 roku miał rozpocząć pracę w Gimnazjum Zana.

24. Wacław Prusak - wieloletni nauczyciel śpiewu i rysunków.

Tu - gwoli ścisłości - pozwalam sobie zauważyć, że na wyżej zacytowanej liście brak nazwiska Jadwigi Hawrylkiewicz - przyrodniczki, absolwentki Gimnazjum Zana, która była ogromnie popularna wśród uczniów, zarówno dzięki walorom charakteru, jak i urody.

Na wspomnianej liście większość zainteresowanych osób pokwitowała odbiór należnych im sum. Brak podpisów jedynie przy nazwiskach Zofii Januszewskiej, Mieczysława Warpechowskiego oraz woźnego Jana Poniewierskiego. Można zatem wnioskować, że wszyscy niemal nauczyciele, choć część z nich mieszkała poza Pruszkowem, licząc na rychłe rozpoczęcie normalnych zajęć w szkole, pozostawała w miejscu zamieszkania, gotowa na wezwanie. I tak, w oczekiwaniu na wiadomości mające poinformować ludność, co do dalszego sposobu postępowania, nadszedł dzień 1 września 1939 roku.

Ranek tego pamiętnego dnia wstał mglisty i wilgotny, co o tej porze roku wróży dzień słoneczny i ciepły. Jakoż wkrótce mgły rozwiały się, niebo rozpogodziło. Był to jeden z tych ślicznych dni babiego lata, błękitno złoty i kryształowo -przeźroczystych, stąd samoloty niemieckie, lecące

wczesnym popołudniem nad Pruszkowem, wydawały się oślepiająco błyszczącymi, srebrnymi ważkami na tle błękitnej kopuły. Ludzie, nie nawykli jeszcze do uczucia zagrożenia, nakazującego ostrożność, gromadzili się grupkami przed bramami domów, obserwując lot brzękliwych maszyn pod powałą nieba. I wtedy gruchnęły bomby, trzy z czterech bomb, jakie spadły na Pruszków w ciągu bez mała sześciu lat wojny. Zniszczony wówczas został dom w pobliżu torów i warsztatów kolejowych, stojący w bezpośrednim sąsiedztwie Szkoły (jak się wtedy mówiło) Powszechniej im. J. Piłsudskiego. W tym właśnie domu zginął uczeń Gimnazjum im. Tomasza Zana, Leszek Kolasiński, który przyszedł w odwiedziny do ciotki. W roku szkolnym 1938/39 repetował klasę pierwszą, sprawując funkcję gospodarza klasy I A. Prowadzona przez niego kronika klasowa rozpoczynała się od słów: „Urodziłem się trzynastego, jestem trzynasty na liście, mam więc w życiu pecha”.

Bezpośrednie działania wojenne omijały Pruszków, lecz wielu jego mieszkańców, w tym także absolwentów Gimnazjum imienia Tomasza Zana, zostało zmobilizowanych i wiele rodzin oczekiwało z niepokojem wiadomości o swych bliskich podejmujących nierówną walkę z najeźdźcami.

Według informacji, jakimi dysponuje szkoła, w kampanii 1939 roku polegli następujący koledzy: Stanisław Jasiński padł w obronie Warszawy, Norbert Juchtman - pod Łomiankami Górnymi (matura 1934), Władysław Konarzewski - pod Mławą, (matura 1938), Eugeniusz Lisowski - w Modlinie (matura 1931 r.), brak informacji o miejscu, w którym poległ Ryszard Łopiński (matura 1929 r.); Jan Oźdzyński należący do grupy pierwszych, bo z 1925 roku, maturzystów od Zana - poległ w Gdańsku w obronie Westerplatte; zginął w 1939 także Edward Tober (matura 1932r)

Tylko w dwóch przypadkach zachowały się w aktach szkoły dzieje wojennych kolei losu jej wychowanków. Pierwszy z nich dotyczy historii kolegi Norberta Juchtmana, maturzysty z 1934 roku. Wybrał karierę wojskową, wstępując do Szkoły Podchorążych Saperów, którą ukończył w 1937 roku, jako jeden z najlepszych i w randze podporucznika objął służbę w 15 Baonie Saperów w Toruniu.

Zadanie bojowe podporucznika Juchtmana, powierzone mu już pod koniec lipca 1939 roku, polegało na przygotowaniu do wysadzenia w powietrze dwóch mostów w Tczewie. Mosty te - kolejowy i drogowy - mierzące po przeszło tysiąc metrów długości, były oddalone od siebie o 30 metrów i miały ogromne znaczenie strategiczne wobec spodziewanej inwazji niemieckiej. Na tych bowiem mostach zbiegało się szereg dróg łączących Prusy Wschodnie z Berlinem. Zniszczenie mostów w Tczewie miało na celu udaremnienie odcięcia polskiego wybrzeża od pozostałej części kraju. Tak więc na barki młodego dowódcy złożono wielką odpowiedzialność, gdyż spraw-

ne wykonanie powierzonego mu zadania mogło mieć decydujący wpływ na przebieg działań wojennych w tej części Polski. Saperzy podporucznika Juchtmiana wywiązali się ze swej misji bez zarzutu, umieszczając pod każdym przęsłem mostów ładunki wybuchowe. Praca była bardzo trudna, gdyż wykonując ją trzeba było markować prace konserwatorskie. Jednak robota została szczęśliwie zakończona przy zachowaniu pełnej konspiracji. Do saperów dołączył teraz drugi Batalion Strzelców z Tczewa i wspólnie obsadzono punkty ogniowe ukryte w okalających mosty zaroślach, zapewniając obronę tych tak ważnych obiektów.

W dniu wybuchu wojny, 1 września, na most kolejowy w Tczewie wtoczył się, uprzednio już zapowiedziany, kursujący według rozkładu, pociąg transportowy do Berlina. Lecz tym razem jego śladem wjechał na most pociąg pancerny z wycelowanymi lufami dział i karabinów maszynowych. Pod jego osłoną z pociągu „transportowego” wysypali się Niemcy: plutony SS i Wehrmachtu. Polscy żołnierze, dopóki było to możliwe, stawiali opór nacierającym w przeważającej sile Niemcom. Dopiero atak lotniczy, którym Niemcy wsparli atakujące jednostki, zmusił Polaków do wycofania się z walki. Podporucznik Juchtmian, przez cały czas dowodzący akcją, odczekawszy czas niezbędny dla usunięcia się żołnierzy polskich - wysadził w powietrze oba mosty wraz z atakującymi Niemcami. Zbudowanie prowizorycznego mostu w Tczewie zajęło Niemcom 40 dni.

Tymczasem podporucznik Juchtmian walczył nadal, uczestnicząc w ciężkich bojach będącej w odwrocie Armii „Pomorze”. Brał udział w całodziennej krwawej bitwie w Laskach. Poległ 22 września o świcie pod Łomiankami Górnymi.

Bohaterem drugiej historii jest kolega Bolesław Ostrowski, maturzysta z 1934 roku. Był najstarszym synem dyrektorskiej pary z Gimnazjum Zana - Leona i Stanisławy Ostrowskich. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości wstąpił do Szkoły Podchorążych Kawalerii, którą ukończył w 1938 roku z wynikiem dobrym. 21 Pułk Ułanów Nadwiślańskich, w którym służył kolega Ostrowski, uczestniczył podczas kampanii wrześniowej w wielu potyczkach i bitwach, odnosząc szereg sukcesów, mimo poważnych strat i mimo przewagi wroga pod względem wyposażenia technicznego. Ostatnią operacją, w jakiej uczestniczył ze swym macierzystym pułkiem, było natarcie wraz z Brygadą Wołyńską na Mińsk Mazowiecki przez wieś Dębe Wielkie. Celem tej akcji było odepchnięcie sił 3 armii niemieckiej, okrążającej Warszawę od północnego wschodu. Bój rozpoczął się 13 września o 9 rano. Około południa, po zaciętej walce, szwadrony 21 pułku zdobyły wieś Choszczówkę i dotarły do toru kolejowego przebiegającego przez zachodni skraj Mińska. Tam właśnie podporucznik Ostrowski, walczący w pierwszej linii, został ranny. Kula strzaskała kość biodrową, skazując go na długie miesiące szpitala i unieruchomienie stawu biodrowego na całe życie. Nie

udaremniło to jednak dalszej walki podporucznikowi Ostrowskiemu, początkowo w szeregach żołnierzy Polski Podziemnej i wreszcie znów w szeregach regularnej armii, do czego powrócimy na dalszych stronicach.

Tymczasem do Pruszkowa i okolic wkroczyli Niemcy. Dobrze znany, bezpieczny i beztroski świat naszej młodości runął w gruzy, zabierając nam - w najlepszym wypadku - sześć najpiękniejszych lat życia, a nie rzadko i samo młode życie.

Na murach Warszawy, a także innych miast i miasteczek Generalnej Gubernii, pojawiły się przeróżne „Bekanntmachung”, mające odtąd moc stanowienia o losie Polaków. Czytano je z mieszanymi uczuciami, nad którymi górowało poczucie upokorzenia i zagrożenia, mające towarzyszyć nam przez niemal sześć lat okupacji.

Po wkroczeniu Niemców do Warszawy władze niemieckie zarządziły, aby wszyscy urzędnicy stawili się w dotychczasowych miejscach pracy, celem podjęcia swych normalnych czynności. Rozporządzenie to wykorzystaly działające w konspiracji polskie władze oświatowe, istniejące jeszcze w czasie oblężenia Warszawy i - stosując dość dowolną interpretację dokumentu - zarządziły uruchomienie szkół, między innymi także średnich szkół ogólnokształcących i zawodowych. Władze polskie liczyły, że manewr ten postawi Niemców przed faktem dokonanym i uda się rozpocząć wreszcie opóźniony przez wojnę rok szkolny. Jakoż sprawa udała się, lecz nie na długo. Już bowiem w listopadzie 1939 roku władze niemieckie zarządziły zamknięcie średnich szkół ogólnokształcących i zawodowych. Młodzież skorzystała więc zaledwie niecałe dwa miesiące nauki.

Inaczej rzecz się miała w Pruszkowie. Budynek Gimnazjum i Liceum im. Tomasza Zana przy ulicy Klonowej zajął, natychmiast po wkroczeniu do Pruszkowa, Wehrmacht. Nie było zatem możliwości nawet chwilowego uruchomienia szkoły. Nie tylko zresztą lokal straciła nasza szkoła w pamiętnych dniach Września. Niemcy, obejmując w posiadanie budynek szkolny, dewastowali wszystko, co nawinęło się im pod rękę. Wyrzucali przez okna kosztowne aparaty i urządzenia, eksponaty, archiwalia i książki. Pani Ostrowska, dla której praca była treścią jej życia, patrzyła z okien swego mieszkania przy ulicy Cedrowej na dzieło bezmyślnego barbarzyństwa.

Chwila ta musiała na zawsze utkwic w jej pamięci, gdyż wspominając po przeszło dwudziestu latach pierwsze dni okupacji w Pruszkowie, pisała: „Udało się ocalić najcenniejsze książki, mikroskopy, nie można było jednak pomieścić wszystkiego w mieszkaniu prywatnym. Z bólem patrzyło się na zniszczenie dorobku tylu lat pracy”.

Sytuacja w kraju, jak również w Pruszkowie, nie była łatwa. Trudno było liczyć, aby po klęsce wrześniowej społeczeństwo szybko odzyskało

rórowagę i energię potrzebną do zorganizowania życia w nowych, jakże ciężkich warunkach. A jednak tuż po tragedii września, nie wiedzieć kiedy, powstały komórki pracy konspiracyjnej, załączki ruchu oporu, przygotowujące od pierwszej chwili naród do walki zbrojnej, organizujące oświatę, ochronę zabytków kultury, zabezpieczające środki i urządzenia do wydawania prasy - słowem narodziła się Polska Podziemna. Życie podbitego, lecz nie pokonanego narodu potoczyło się odtąd podwójnym nurtem: okupacyjna wegetacja i praca w konspiracji, z której czerpało się siłę trwania i wolę przetrwania.

- Polska przegrała, lecz jeszcze nie zginęła!

- Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni!

- Nie takie bryły przed nami były!

Te i tym podobne hasła oraz porzekadła słyszało się na każdym kroku. Szeptano do ucha osobom zaufanym wiadomości podawane przez zagraniczne radio, krążyła prasa konspiracyjna, „gazetki” - jak się wtedy mówiło. Niezależnie od tego sięgano nader często do zaświatowych źródeł informacji drogą organizowania seansów spirytystycznych. Nie było chyba w Warszawie większego domu, w którym bodaj jeden lokal nie gromadziłby co wieczór grona wtajemniczonych, obsiadających dookoła stolik (skonstruowany bez użycia gwoździ!) i wpatrzonych w talerzyk ustawiony po środku. Na obwodzie stolika wypisywano kredą alfabet, na talerzyku malowano kreskę. Dłonie obecnych spletały się w „łańcuch” i zaczynało się, jakże emocjonujące, obcowanie z duchami. Nikt, rzecz jasna, nie kwapił się wywoływać duchy osób mało znaczących. Do najczęściej fatygowanych na seanse spirytystyczne mieszkańców zaświatów należeli: Napoleon, marszałek Piłsudski, Jerzy Waszyngton, księżę Józef Poniatowski i inni wodzowie, co jest logiczne, zważywszy, że rozmowy „mediów” podczas seansów dotyczyły głównie spraw wojny i jej dalszego przebiegu, nie było więc sensu zapraszać duchów na przykład Nicolo Paganiniego czy Marii Konopnickiej, bo i cóż oni mogą się znać na wojennym rzemiośle? Obiektywnie przyznać trzeba, że obywatele pól elizejskich ochoczo i bez zbytniego certowania się przybywali na wezwanie nadwiślańskich mediów, przy czym godną podziwu i uznania jest swoboda z jaką duchy znakomitych cudzoziemców posługiwały się językiem polskim. Ponadto tak się dziwnie składało, że treść wypowiedzi zaświatowych informatorów była zawsze korzystna zarówno dla indywidualnych osób, prowadzących dialog z duchami, jak dla wszystkich Polaków i przyszłych losów Polski. Stąd należy się okupacyjnym spirytystom nasze wdzięczne wspomnienie za optymizm, jaki ich rewelacje nieciły w sercach umęczonych ludzi. Podobnego autoramentu źródłem informacji były różne przepowiednie. Przypisywano je bądź Wernyhorze, bądź Sybilli, czy też królowej Sabie, bądź nieznanemu pobożnemu zakonnikowi. Dotyczyły one przeważnie terminu końca wojny, który - w miarę upły-

wu okupacyjnych lat - przesuwiał się w czasie, wyznaczając coraz odleglejszy termin odmiany losu.

Lecz chociaż wszyscy jednakowo gorąco pragnęli zakończenia wojny, wierząc bez zastrzeżeń, że przyniesie nam ono zwycięstwo - nie czekali na tę upragnioną chwilę z założonymi rękami. Owszem, starali się w miarę możliwości pracować i działać tak, aby w upragnionym momencie odzyskania wolności Polska miała zapewniony kapitał, przede wszystkim w ludziach. Stąd powstała społeczna potrzeba nauki. Zaczątki prac organizacyjnych, zmierzających do uruchomienia sieci tajnego nauczania w okupowanej Polsce, sięgają października 1939 roku kiedy to przedstawiciele Związku Nauczycielstwa Polskiego postanowili rozpocząć konspiracyjną działalność oświatową. Postanowiono, że w pracy swej organizatorzy tajnego nauczania używać będą skrótu TON, nie rozszyfrowując go, aby w razie „wspły” mógł być różnie interpretowany, nie zdradzając środowiska społecznego zaangażowanych w pracę tę osób.

Organizowanie kompletów tajnego nauczania na poziomie średnim rozpoczęło się w listopadzie 1939 roku, to jest z chwilą zamknięcia przez Niemców średnich szkół ogólnokształcących i zawodowych.

Jesienią 1939 roku i zimą 1940 roku w Warszawie oraz w województwie warszawskim, a także w kieleckim i lubelskim, powstała dość znaczna liczba kompletów z programem gimnazjum i liceum ogólnokształcącego. W krakowskim natomiast dominowały w tym okresie szkoły zawodowe.

Już na początku tajnej działalności oświatowej zarysowały się pewne rozbieżności ideowo-polityczne między TON, skupiającym głównie członków ZNP, a Towarzystwem Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych oraz Stowarzyszeniem Chrześcijańsko-Narodowym Nauczycielstwa Szkół Powszecznych. Rozbieżności te dotyczyły głównie głoszonej przez TON konieczności przeobrażeń demokratycznych w nowej Polsce. W związku z tym TON wydawał sam wszystkie odezwy i oświadczenia, nie chcąc wiązać się z innymi organizacjami nauczycielskimi. Jednak mimo różnic ideologicznych w organizacjach nauczycielskich, sieć kompletów rozwijała się imponująco, obejmując teren całej Polski.

Tajne nauczanie w Pruszkowie rozpoczęło się spontanicznie i to już w listopadzie 1939 roku, a więc w momencie, kiedy w stolicy tworzyła się organizacja TON. Można więc nie bez dumy stwierdzić, że „gród nad Utrą” co najmniej dorównywał, jeśli nawet nie dystansował w tym czasie Warszawy pod względem szlachetnych aspiracji oświatowych.

Pionierką w dziele tajnego nauczania w Pruszkowie była pani Aleksandra Gruszczyńska, pochodząca ze znanej i zasłużonej dla miasta rodziny, o której przedstawicielach będzie jeszcze mowa w niniejszym opracowaniu. Na tym miejscu pozwolę sobie przypomnieć postać pana Stanisława Gruszczyńskiego, stryja pani Aleksandry. Postać jego jest nieodłącznie

związana z Pruszkowem, sprawował tu bowiem przez wiele lat urząd burmistrza i jemu to właśnie miasto zawdzięcza szereg innowacji i inwestycji, między innymi uporządkowanie i naprawę nawierzchni ulic. Piastował także pan Gruszczyński godność senatora Rzeczypospolitej z ramienia Polskiej Partii Socjalistycznej. Zawierucha wrześnieowa zaniósł burmistrza pruszkowskiego do Lwowa, gdzie zastało go wkroczenie Niemców. Władze niemieckie z wrodzonym zamiłowaniem do „porządku” przystąpiły niebawem do oczyszczania miasta z wrogiego żywiołu, czyli Żydów. I wtedy do burmistrza zgłosił się jego przyjaciel z paroletnim synem, prosząc, aby zajął się dzieciakiem, którego pragnął ocalić od zagłady. Pan Gruszczyński zgodził się i malec zamieszkał w odnajmowanym przezeń pokoiku. Oczywiście, chłopcu nie wolno było na krok wychodzić z domu, co dla dziecka w jego wieku było ogromną męczarnią. Toteż razu pewnego, kiedy pan Gruszczyński wyszedł do miasta po zakupy, chłopiec wymknął się na podwórko. Nikt nie dowie się, jak się to stało, że prawie natychmiast zjawili się żandarmi i biciem wymusili na malcu wskazanie miejsca zamieszkania. Kiedy pan Gruszczyński przekroczył próg swego domu, czekano już na niego. Został natychmiast rozstrzelany razem z synem swego przyjaciela, mimowolnym sprawcą tragedii. Pochowano go w bezimiennym mogile we Lwowie. Na cmentarzu pruszkowskim jest jego symboliczny grób, na którym w dniu zadusznym pali się moc lampek.

W chwili wybuchu wojny była pani Aleksandra studentką III roku filologii klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego, pragnącą poświęcić się w przyszłości pracy pedagogicznej w zakresie zaszczepiania w dusze młodych Sarmatów umiłowania języków i kultury antycznej. Niezależnie zaś od posiadanej wiedzy, miała pani Aleksandra wrodzone talenty pedagoga z powołania, gdy więc późną jesienią 1939 roku zjawiła się u niej gromadka rodziców, proponująca podjęcia się edukacji ich pociech, nie mogła zdobyć się na inną odpowiedź, jak tylko aprobującą projekt. Zaczęła się więc nauka na poziomie gimnazjum ogólnokształcącego w domu państwa Gruszczyńskich przy ulicy Klonowej 52, co zdaje się być symbolem trwałości płonącego na tej ulicy kagańca oświaty. O domu tym będzie jeszcze mowa, gdyż odgrywał on w czasie okupacji ważną i piękną rolę w życiu zarówno miasta, jak i różnych rozbitków wojny, którzy znajdowali pod jego dachem schronienie i życzliwe serca.

Tak więc na ulicę Klonową znowu zaczęła zdążać codziennie gromadka młodzieży, tyle, że bardzo nieliczna w porównaniu z dawniejszą zaniacką społecznością. Uczniami pani Aleksandry byli: Irena Dumkiewicz, Kazimierz Filipiak, Zbigniew Gintowt-Dziewałowski, Roman Goetz, Maria Gruszczyńska (najmłodsze dziecko gospodarzy domu) Mirosław Józwiak, rodzeństwo Radziuk i Sławomir Siennicki. Na wszelki wypadek przepra-

szam, jeśli tu któregoś z kolegów nie wymieniłam, lecz mimo usilnych starań, nikt z moich informatorów nie mógł sobie nikogo więcej przypomnieć.

Program nauczania tych pierwszych na terenie Pruszkowa tajnych kompletów obejmował pierwszą i drugą klasę gimnazjum. Uczniowie przychodzili na zajęcia wytrwale, choć nauka w warunkach konspiracyjnych - bez pomocy naukowych i odpowiedniego sprzętu - nie była łatwa. Najbardziej jednak dokuczał mróz. Zimy okupacyjne były wyjątkowo ostre i trwały długo. Owa pierwsza wojenna zima dobrze dała się we znaki wszystkim. Powszechnie brakowało opału, cudem zdobyte brykiety czy okruchy węgla przeznaczało się do kuchni na gotowanie posiłków, o opalaniu mieszkań nie było co marzyć. Stąd podczas pierwszej okupacyjnej zimy zniknęły w Pruszkowie wszystkie niemal drewniane parkany, porozbierano pod osłoną nocy wegetujące od pokoleń rudery, komórki, szopy; padło pod siekierami wiele drzew w parkach i na skwerach.

W domu państwa Gruszczyńskich - jak wszędzie - panował dotkliwy ziąb. Uczniowie i pani profesor kulili się w paltach, marznąc mimo ciepłej atmosfery, jaką emenowała młoda nauczycielka. Aby zajęcia na kompletach uczynić choć trochę znośniejsze, uczniowie zaczęli przynosić ze sobą po kilka brykietów, po kilka szczap drewna lub po parę kawałków węgla. Składkowy ten opał ładowano do piecyka żelaznego, tak zwanej „kozy” - sprzętu bardzo popularnego w latach wojny - i przez jakiś czas młodzież wraz z wiedzą chłonoła przyjemne ciepło.

Niezależnie od gromadki, pobierającej naukę u pani Gruszczyńskiej, powstał w Pruszkowie komplet prowadzony przez profesora Stanisława Moczulskiego - łacinnika od Zana, „Taty” - który zorganizował tajne nauczanie w swym prywatnym mieszkaniu. Informacja ta pochodzi ze wspomnień dyrektora tajnego nauczania w Pruszkowie, profesora Bohdana Zielińskiego. Niestety, nie podaje profesor Zieliński żadnych bliższych danych o tym komplecie, jak również nie wymienia nazwisk uczniów, nie miałam zatem możliwości podania dokładniejszych informacji na ten temat.

Nadszedł rok 1940 i - jak każdy nowy rok - obudził nieśmiałe nadzieje. Lecz klęska okupacji trwała nadal i przynosiła tragiczne żniwo. Coraz częściej zdarzały się masowe aresztowania, zapelniały się katownie i obozy koncentracyjne, coraz więcej rodzin oczekiwało z rozpaczą i nadzieją na wiadomości od uwięzionych bliskich osób, coraz więcej domów okrywało się żałobą.

Ginęli także zaniacy. W 1940 roku odeszli z naszego grona następujący koledzy: Feliks Będkowski (maturzysta z 1929 roku) - zginął w obozie w Mauthausen; Sławomir Ćwierciakiewicz (matura w 1926 roku); Wojciech Dymecki (maturzysta z 1926 r.); Antoni Jarząbek (matura 1926 r., lekarz) -

został rozstrzelany: Marian Olechowski (matura 1926 r.); Józef Podgórski (matura 1926 r.) i Tadeusz Strzelec (matura 1928 r.) - zginęli w obozie w Katyniu; Wacław Stoklas vel Stochlak (maturzysta z 1926 r. rotmistrz ułanów).

W Pruszkowie życie płynęło na pozór codziennym, szarym nurtem okupacyjnej vegetacji. Lecz pod warstwą rzekomo spokojnej powszedniości toczyła się walka. Jednym z jej przejawów było tajne nauczanie, zapoczątkowane - jak to wspomniano uprzednio - przez spontanicznie zorganizowane komplety. Jednak potrzeby miasta były znacznie większe, należało zatem sprawę tajnego nauczania rozwiązać kompleksowo, proporcjonalnie do zaistniałych potrzeb. Odpowiedzialne to i mające zasadnicze znaczenie dla przyszłości młodzieży pruszkowskiej zadanie, wziął na swe barki profesor Bohdan Zieliński, wykładowca geografii w latach trzydziestych w Gimnazjum i Liceum im. Tomasza Zana w Pruszkowie.

W prywatnym archiwum kolegi Ignacego Dobrowolskiego, wychowanek naszej szkoły, który poświęcił wiele pracy i starań dziełu odnowienia i utrzymania kontaktów między zaniakami, zachowało się wspomnienie profesora Zielińskiego, stanowiące przedmowę do historii tajnego nauczania w Pruszkowie, opracowanej przez kolegę Mariana Pytkowskiego na podstawie materiałów udostępnionych przez profesora. Zanim jednak oddam głos profesorowi, pozwolę sobie przypomnieć jego postać, tak bardzo związaną z naszą szkołą i tak serdecznie bliską jego okupacyjnym wychowankom.

Urodził się profesor Zieliński na Wołyniu w 1884 roku. Studiował we Florencji, a następnie w Odessie. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości zjechał do Warszawy i rozpoczął pracę w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Jednak nie bardzo odpowiadała mu praca urzędnika, w związku z czym pożegnał biurko w Ministerstwie i wyjechawszy do Łowicza, zasiadł w 1922 roku na katedrze tamtejszego gimnazjum jako nauczyciel geografii. Do Pruszkowa przeniósł się profesor w 1935 roku i rozpoczął pracę w Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Tomasza Zana, wykładając geografję. Kilka starszych pokoleń zaniaków nie potrafi sobie wyobrazić szkoły bez „Ziela” vel „Sokolego Oka”. Jego charakterystyczna sylwetka żywo przypominała postaci z fin de sie-cl'u: niewielkiego wzrostu, ale bardzo zgrabny, do końca życia zachował figurę niemal młodzieńczą. Nosił profesor starannie pielęgnowaną hiszpańską bródkę i bujne wąsy. W latach przed wojną często używał monokla. Zawsze w ciemnym, jeśli zgoła nie czarnym, garniturze, schludny, zadbany, elegancki. Miał przy tym profesor Zieliński wrodzoną, zrośniętą z nim nieodłącznie wytworność obejścia, dla wszystkich zawsze uprzejmy, szarmancki, zawsze w dobrym stylu i nigdy nie tracący panowania nad sobą. Miał niezaprzeczalny talent gawędziarski, lubił i umiał opowiadać, co bezczelnie wyko-

rzystywane było przez młodzież w latach trzydziestych. Wystarczyło rzucić jakieś hasło, poprosić o „wyjaśnienie” tego czy innego problemu, nie koniecznie z dziedziny geografii - a profesor dosiadał swego „konika” i, nie wiedząc kiedy, lekcja mijała „jak sen jaki złoty”. Odznaczał się „Ziela” także imponującą błyskotliwością, zdarzało się więc, że celną aluzją lub naprędce wymyślonym kalamburem „załatwiał” pyskatego lub zbyt pewnego siebie ucznia, lecz nigdy nie było to złośliwe ani brutalne. Umiał też profesor docenić błyskotliwość innych, stąd wystawiane przez „Ziela” stopnie w tej samej mierze były wykładnikiem wiadomości z dziedziny geografii, co inteligencji. Pamiętam, że zdając egzamin wstępny do I klasy gimnazjum, usłyszałam od profesora Zielińskiego jedno tylko pytanie: - Wyobraź sobie, że zbudowałaś w kształcie sześcianu dom na samym biegunie północnym. W każdej ścianie jest jedno okno. Powiedz, w jakim kierunku będziesz patrzeć wyglądając przez kolejne okna?

- Zawsze na południe! - odpowiedziałam wyjątkowo przytomnie, lecz byłam tak stremowana, że nie byłam pewna, czy nie strzeliłam głupstwa.

- Boże, jeśli się omyliłam, to leżę! - myślałam z rozpaczą, czekając na następne pytanie. Lecz profesor uśmiechnął się promiennie:

- Bardzo dobrze, znasz się na geografii!

Wspominając profesora Zielińskiego po tylu latach muszę przyznać, że był on człowiekiem o gołęmbim sercu w stosunkach z młodzieżą. On nas naprawdę lubił, może nawet kochał, nie mając własnych dzieci. Bywało, że robiliśmy mu rozmaite diabelskie psoty, idiotyczne kawały i psikusy, więc rugał nas nie raz i beszał, ba - nawet zdarzyło się, że zawiesił tego lub owego w zajęciach szkolnych, ale potem nigdy już nie wracał do grzechów przeszłości, nie „odkuwał” się. Zawsze chętnie rozmawiał z nami o wszystkim, co nas interesowało, nie wymigał się od rady, pomagał każdemu w sensie moralnym i materialnym. Jeśli wziąć pod uwagę, że „Sokole Oko” wszystkie wspomniane wyżej cechy charakteru przejawiał podczas wojny, jako dyrektor tak zwanych „Kursów Przygotowawczych” i tajnych kompletów, o których będzie mowa dalej, należy - moim zdaniem wszelkie dobro jakiego nam nie skąpił, liczyć podwójnie.

Podczas obchodów 40-lecia szkoły, które miały miejsce 19 czerwca 1961 roku, profesor Zieliński wydawał się wcale rzeński i zdrów, a przecież wielu z nas widziało go wtedy po raz ostatni. Zmarł zimą 1962 roku, odprowadzony na miejsce wiecznego spoczynku przez kilka pokoleń zaniaków.

Pragnąc przedstawić sytuację, jaka zaistniała w chwili organizowania nauki na poziomie średnim, cytuję fragmenty wspomnianej uprzednio „Przedmowy” profesora Bohdana Zielińskiego:

„Po skasowaniu przez okupanta średnich szkół ogólnokształcących, nauczyciele tych szkół pozostawali bez pracy. Brak legitymacji pracy gro-

ził przymusowym zatrudnieniem w pracy fizycznej. Wielu nauczycieli szkół średnich »zadekowało« się w szkołach podstawowych, gdyż szeregi nauczycieli w ogóle były mocno przerzedzone przez samą wojnę i przez masowe egzekucje. Jedni bądź ukrywali się, bądź znaleźli zajęcie w różnych instytucjach; jeszcze inni załamali się psychicznie.

Okupant niszczył przede wszystkim inteligencję polską - bądź biologicznie, bądź pośrednio - pozbawiając ją pracy i kierując młodzież na drogę oświaty wyłącznie zawodowej. Zwarta jednak i mocna postawa społeczeństwa - pomimo wielu ofiar - stanowiła niezwykłą zaporę zakusom faszystów. Młodzież garnała się do nauki. Stały więc przed nauczycielami trzy zadania: 1) uczciwie zapracować na utrzymanie swoje i swej rodziny, 2) spełnić - pomimo prześladowań - swoją patriotyczną rolę w społeczeństwie i 3) zorganizować zakłady naukowe bądź jawne - bądź tajne. Do jawnych należały szkoły podstawowe ze znacznie okrojonym programem nauczania - bądź szkoły zawodowe I i II stopnia po ukończeniu szkół podstawowych. Wyjątek stanowiły t.z.w. »kursy przygotowawcze do szkół zawodowych II st.« - dozwolone czasowo dla uczniów III i IV kl gimnazjalnej w latach szkolnych 1940-1942, również z bardzo okrojonym programem kl. III i IV gimnazjalnej. Historia i geografia Polski, zarówno w szkołach podstawowych, jak i na wspomnianych »kursach«, były zabronione, na »kursach« zabronioną była i łacina. Były zaś rozbudowane roboty ręczne. Licealne szkoły ogólnokształcące były skasowane, tajne więc nauczanie musiało objąć i wypełnić te luki we wszystkich stopniach tych szkół, nie mówiąc już o szkołach akademickich, gdyż te zostały zamknięte. Taki był stan szkół.

Zima i wiosna 1940 r. upłynęła na udzielaniu przez kolegów lekcji w kompletach uczniów z różnych klas i gorączkowych staraniach o uzyskanie koncesji na otwarcie dozwolonych przez okupanta szkół średnich, celem dalszego kształcenia młodzieży kończącej szkoły podstawowe. Władze niemieckie nie opanowały jeszcze życia prywatnego społeczeństwa. Była to okupacja wojskowa i administracyjna, na terenie Pruszkowa raczej prowizoryczna. Korzystając z tego stanu, udało się nam, nauczycielom Gimnazjum i Liceum im. T. Zana, uzyskać koncesję na otwarcie szkoły średniej handlowej i mechanicznej, jako szkół miejskich z warunkiem samowystarczalności. W budżecie miejskim figurowała na utrzymanie tych szkół symboliczna złotówka. Dużo w tej sprawie zawdzięczamy p. Stanisławowi Koperowi, ówczesnemu sekretarzowi magistratu, który zdołał przekonać burmistrza niemieckiego Jagodzińskiego (z Prus Wschodnich) i nie wrogiego dla naszych starań. W niedługim czasie został on aresztowany przez Gestapo.

Mieliśmy koncesję. Fundusze ... z trudem zebrane przez kolegów 65 złotych na wydrukowanie afiszy o zapisach do tych szkół. Chwilowy przy-

tułek znaleźliśmy w pałacyku dawniejszego Sokoła, w lokalu nieczynnego przedszkola. Warsztaty dla szkoły mechanicznej użyczył nam kol. Al. Luniak, który prowadził tam dalej zajęcia. Później znaleźliśmy lokal przy ulicy Narutowicza, a i ten zajęli nam Niemcy - na szczęście chwilowo. Czas jakiś lekcje odbywały się w dolnym kościele w Pruszkowie.

Kierownictwo podzieliliśmy tak: szkoła mechaniczna - kol. E. Zdanski, handlowa - kol. R. Stefański, »kursy dokształcające« - B. Zieliński. Ogólny skarbnik - ks. E. Skrzecz.

W skład Rady Pedagogicznej wchodziłi po większej części dawni nauczyciele Gimnazjum i Liceum im. T. Zana oraz kilka nowych osób. Tajne nauczanie ograniczało się, zwłaszcza na »kursach«, do wyzyskiwania nadwyżki godzin robót ręcznych na lekcje historii i j. łaćńskiego. Głównym zaś zadaniem było wychowanie młodzieży w duchu ojcystym. Zresztą postawa młodzieży była znakomita. Chęć do nauki i zrozumienie roli przyszłego inteligenta - doskonała, o czym świadczą zbiorowe uczniowskie pamiętki, jakie otrzymywali niektórzy nauczyciele”.

Taka więc była geneza powstania „Kursów Przygotowawczych do Szkół Zawodowych II Stopnia” w Pruszkowie.

Wspomniane Kursy obejmowały dwa poziomy: wyższy - odpowiadający IV gimnazjalnej, którego program przewidziany był na jeden rok szkolny i stanowiący jedną klasę; niższy był odpowiednikiem III gimnazjalnej i dzielił się na dwie równoległe klasy A i B, gdzie nauka według pierwotnego założenia miała trwać półtora roku, lecz w rzeczywistości trwała dwa lata.

Przed rozpoczęciem nauki odbyły się egzaminy wstępne. Lokalu do ich przeprowadzenia użyczyły siostry zakonne, prowadzące przy ulicy Szkolnej pod numerem 15 Zakład dla Chłopców pod wezwaniem świętego Maura (często nazywanego przez lud pruszkowskim świętym Mamerem) i Placyda. Wszyscy, którzy przeszli pomyślnie przez sito egzaminów, zasiedli w roku szkolnym 1940/41 w ławach lokalu przy ulicy Narutowicza. W przeważającej liczbie byli to zaniacy pobierani z klas drugich i trzecich przedwojennej szkoły, przy czym dwie równoległe młodsze klasy podzielono według kryterium stosowanego niegdyś u Zana: w klasie A przeważali uczniowie z klasy „francuskiej”, w klasie B uczący się przed wojną niemieckiego. Podział według tego kryterium był zresztą konieczny z uwagi na potrzebę dostosowania poziomu nauczania języka niemieckiego do wiadomości uczniów, gdyż niemiecki był jedynym językiem obcym, na którego naukę pozwalały władze okupacyjne. W ławach szkolnych zasiedli przeważnie ci sami co przed wojną uczniowie: synowie miejscowych rolników, robotników pruszkowskich fabryk, rzemieślników, sklepikarzy - zwanych dla większego splendoru „kupcami” - oraz inteligentów. Mimo różnic wychowania i tradycji wyniesionych z domu - współży-

cie koleżeńskie w klasie było budującym przykładem harmonijnej koegzystencji i przykładowej demokracji. Profesorowie byli w większości przypadków również ci sami, nawet te same ławki, wyrzucone z lokalu szkoły przy ulicy Klonowej, ale wszystko to było wtłoczone w ciasne pokoiki, nie przystosowane do spełniania roli, jaką im narzuciły okoliczności. Pamiętam, że ściany naszego nowego lokum szkolnego pomalowane były na kolory mogące przyprawić co wrażliwszych o rozstrój nerwowy: grynspanowa zieleń, różowość buraczka w śmietanie i krwista czerwień, którą pomalowano przedpokój. Lokal przy ulicy Narutowicza wspominamy jednak z wielkim sentymentem i to zarówno z przyczyn subiektywnych, jak i obiektywnie oceniając jego rolę azylu aż dla dwóch szkół okupacyjnych: handlowej oraz naszej, oficjalnie „Kursów Przygotowawczych”, a w rzeczywistości gimnazjum ogólnokształcącego.

Z uwagi na okrajany program nauczania, o czym wspominał profesor Zieliński, w wyżej cytowanym fragmencie jego „Przedmowy”, grono nauczycieli nie było zbyt liczne. Język polski prowadziła pani Zofia Steffenowa - „Zosia” - nowa siła pedagogiczna na terenie Pruszkowa; matematyka i fizyka były domeną pani Bronisławy Budziszewskiej, „Broni” - wychowawczyni klasy IA w roku szkolnym 1938/39. Język niemiecki wykładał profesor Franciszek Januszewski - „Felek”, parający się przed wojną u Zana nauczaniem języka polskiego, łaciny i propedeutyki filozofii. Wykładowcą chemii był profesor Józef Hoinka, postać nowa dla nas, gdyż miał on rozpocząć pracę u Zana w roku szkolnym 1939/40 a z racji wojny jego start u Zana przeciągnął się o cały rok. Również nową postacią była nauczycielka biologii i anatomii - Irena Kowalska. Religia pozostawała nadal przedmiotem księdza Emiliana Skrzecza, znanego nam sprzed wojny prefekta od Zana. Rysunki prowadził w pierwszym roku trwania Kursów Wacław Prusak należący do nauczycieli o najdłuższym stażu w naszej szkole; w roku szkolnym 1941/42 funkcję tę przejął Zygmunt Kordiasz - przed wojną nauczyciel robót ręcznych w grupach chłopców. Przez jakiś czas mieliśmy również nauczycielkę geografii - panią Drop, której imię wyleciało z pamięci zarówno mojej, jak moich kolegów. Uczyła nas geografii Afryki, dyktując wiadomości i każąc nam dokładnie je notować. Była bardzo wymagająca przy odpowiedziach i często sypała dwójkami, stąd mieliśmy w owym czasie zrozumiałą awersję do Czarnego Łądu, borykając się z opanowaniem jego tajników bez podręczników a co gorsza bez map, które były zakazane przez władze. Roboty ręczne prowadziła pani Kordiaszowa, potem pani Gołębiowska. Nieodłączną postacią szkoły przy ulicy Narutowicza był woźny - pan Truszkowski obwieszczający początek i koniec każdej lekcji przy pomocy ręcznego dzwonka o metalicznym, donośnym brzemieniu. Była to osobistość jakby żywcem wyjęta z epoki naszych pradziadów. Niewielki wzrostem, szczupły, lecz trzymający się pro-

sto, przypominał godnym sposobem bycia emerytowanego wiarusa napoleońskiego. Wrażenie to potęgował sumiasty, obfity wąs, zdobiący twarz pana Truszkowskiego i strój, na który składał się granatowy garnitur z marynarką wojskowego kroju, zapiętą pod szyję. Był bardzo sympatyczny, życzliwy, choć czasem pogderał na nas, jak zaleźliśmy mu za skórę swymi kawałami, nie zawsze na poziomie.

W czasach okupacji, kiedy dla społeczeństwa polskiego nie istniało życie kulturalne, kiedy zamknięto polskie sceny, a w kinach dawano obrzydlive szkopskie propagandowe szmiry, których żaden prawdziwy Polak nie chciał oglądać, kiedy zabronione były wszelkie mecze i związki sportowe, kiedy za słuchanie radia groził obóz koncentracyjny - szkoła dla nas młodych była czymś nieskończenie ważniejszym, niż dla naszych rówieśników w jakichkolwiek czasach. Nasi pedagodzy rozumieli to i starali się - w miarę swych możliwości i przy zachowaniu koniecznej ostrożności - zaspakajać nasze potrzeby intelektualne.

Chodziliśmy więc do szkoły nader chętnie, chociaż byli między nami koledzy, którzy już pracowali lub, będąc uczniami mechanicznej szkoły zawodowej, uzupełniali u nas wiadomości ogólne.

Było to możliwe do pogodzenia, gdyż zajęcia na Kursach odbywały się po południu od 13.00 lub nawet od 14.00, bowiem rano lokal zajmowała średnia szkoła handlowa.

Gdyby zapytał mnie ktoś, jaki przedmiot w tamtych latach był przede mną szczególnie lubiany, nie umiałabym odpowiedzieć. Lubiłam wszystkie, nieliczne zresztą, przedmioty prowadzone na Kursach i lubiłam wszystkich nauczycieli. Oczywiście, najwięcej okazji do popisu, wyżycia się intelektualnego i zabłyśnięcia elokwencją dawały lekcje polskiego prowadzone przez Zosię, czyli panią Steffenową. Była to pani wytworna w sposobie bycia, opanowana i rzeczowa, lecz jednocześnie bardzo bezpośrednia, lubiąca młodzież i znajdujaca zawsze wspólny z nami język. Na jej lekcjach nigdy nie było żadnych drak, wagarowania czy głupich kawałów, to po prostu w odniesieniu do Zosi nie wchodziło w grę. Ale można było powiedzieć anegdotę, kawał, coś dowcipnego wynikającego z sytuacji, bowiem Zosia miała duże poczucie humoru i chętnie śmiała się razem z nami. Wyskoki niestosowne, nietaktowne lub nie na miejscu potrafiła Zosia kwitować jednym spojrzeniem lub słowem, ale delikwent będący ich adresem schowałby się wówczas chętnie w mysią norę. Pamiętam jeden z epizodów, kiedy cała klasa, łącznie z Zosią, nie mogła opanować przez dłuższy czas homeryckiego śmiechu. Pisaliśmy wtedy klasówkę, której tematem była przemowa Nerona do mieszkańców Rzymu po spaleniu miasta. Neron, jak wiadomo z „Quo vadis”, mowy takiej nie wygłosił, ale właśnie my mieliśmy go wyręczyć ex post i ową mowę opracować. Cóż, nie ła-

twy orzech do zgryzienia! Bo to powinno być i w stylu cezara - podpala-
cza i zgodne z realiami powieści... Siedzą wszyscy w ciszy pełnej skupienia,
wydaje się, że wokół każdej głowy wibruje powietrze od niebywałego wysiłku
mózgu, gdy nagle, gdzieś z końca klasy rozległ się sceniczny szept:

- Rzymianie płci obojga!

Z największym trudem udało się nam po dobrej chwili na powrót
wczuć się w atmosferę powieści i jako tako dokończyć klasówkę. Autorem
przytoczonej wyżej inwokacji był Włodek Palczewski, uroczy chłopak, je-
den z najdowcipniejszych ludzi, jakich spotkałam w życiu, poległy potem
w powstaniu warszawskim.

Urok lekcji polskiego stanowiły jednak dyskusje. Omawianie każdej ko-
lejnej pozycji lektury dawało okazję do ścierania się jakże różnych sądów,
przekonań i uogólnień, charakterystycznych dla lat pierwszej młodości,
wygłaszanych z pasją, zaciętrzewieniem - aż do ochrypnięcia.

Zosia sterowała dyskusją bardzo dyskretnie, nigdy nie narzucając
nam swoich poglądów, a jednak w konkluzji dochodziliśmy zawsze do
wytyczonego przez nią wniosku. Bywało, że tak zapaliliśmy się w dysku-
sji, że nie wychodziliśmy na przerwę, nie reagowaliśmy na dzwonek zapo-
wiadający następną lekcję, a Zosia pozostawała w klasie razem z nami.
Dopiero pojawienie się innego nauczyciela kładło kres dyspacie.

Wychowawczynią naszej klasy A była, jak przed wojną, pani Budzisz-
ewska - „Bronia” - nauczycielka matematyki i fizyki. Była bardzo lubianą
przez wszystkich. Miała niewyczerpane zasoby cierpliwości w tłumacze-
niu zagadnień, których ktoś nie mógł zrozumieć. Należała do osobowości
nie narzucających się, skromnych, a jednak emanujących z siebie ogro-
mną siłą. Bronia nigdy nie podnosiła głosu, nigdy nie traciła panowania
nad sobą, była jako nauczycielka bardzo sprawiedliwa, nie uprzedzająca
się do nikogo, ani nikogo nie faworyzująca. Po prostu lubiła nas wszy-
stkich i wszyscy odplacaliśmy jej równie szczerą sympatią. Imponowała
nam swoją spokojną odwagą. Pamiętam, że kiedyś Lalka Cichocka przy-
niosła do klasy wiersze przemycone z Oflagu, w którym przebywał jej
brat. Kiedy Bronia weszła do klasy czytaliśmy je, zbici w gromadkę.

- Pani profesorko, mamy wiersze z Oflagu - ktoś poinformował Bronię.
Bez słowa wyciągnęła po nie rękę i stanąwszy przed całą klasą zaczęła
drżącym ze wzruszenia głosem odczytywać strofki to smutne, to kroto-
chwilne, brzmiące to nadzieją, to rozpaczą, pisane za drutami przez pol-
skich oficerów. A przecież jej, jako nauczycielce, nie wolno było tego ro-
bić, ryzykowała dużo, czytając wobec tak licznego audytorium zabro-
nioną bibułę. Nie znała nas aż tak blisko i zaufała nam na wyrost, cho-
ciaż w owym czasie za błaższe „przestępstwa” szło się do obozów, więc
tym czytaniem zdobyła nasze serca i szacunek.

Postacią, która wyróżniała się z grona naszych pedagogów i która od samego początku wprawiała nas w zdumienie, był profesor Hoinka - chemik. Był wysoki, szczupły, zamaszty w ruchach; miał twarz pokrytą gęstym reliefem zmarszczek, w której błyszczwały intensywnym błękitem oczy, patrzące zawsze z takim zdumieniem na otaczający świat, jakby należały do noworodka, oglądającego po raz pierwszy ziemski padół. Czuprynę nosił profesor krótko przystrzyżoną, wiecznie zmierzwioną, nosił także krótko przystrzyżone wąsy i „paltot” - jak sam określał obszerną jesionkę z brązowego sukna, o przedziwnym kroju, z którą nie rozstawał się, nawet podczas lekcji, od pierwszych chłodów do pierwszych upałów. Przedziwne to okrycie miało wielkie, przepastne kieszenie, z których profesor dobywał na lekcji wszelkie utensylia i przybory potrzebne do doświadczeń. Były tam więc flakoniki z odczynnikami, ołówki, kawałki kolorowej kredy, drut różnej grubości, sznurki i probówki. Były także fatalnie wygniecione skrawki papieru, na których profesor robił notatki dotyczące naszych postępów w dziedzinie chemii. Lecz bynajmniej nie paltot profesora był powodem szoku, jakiego doznaliśmy na początku naszej z nim znajomości.

Otóż przed wojną, a także podczas okupacji, był - jak to już wspominałam - zwyczaj rozpoczynania i kończenia zajęć szkolnych modlitwą. Pewnego dnia na początku roku szkolnego pierwszą lekcją była chemia. Profesor Hoinka wszedł do klasy, powstał w ławkach - jak to było w zwyczaju - i czekamy, aż profesor da znak do modlitwy. A profesor patrzy na nas i ma minę coraz bardziej oburzoną.

Wreszcie pyta klasy:

- To jest pierwsza lekcja, prawda?
- Tak, panie profesorze! - odpowiadamy zgodnie z prawdą.
- To dlaczego nie klękacie do modlitwy? - zagrział profesor.
- Panie profesorze, my mówimy modlitwę stojąc... - wyrwał się ktoś z wyjaśnieniem.
- Stojąc? A kto to słyszał, żeby się modlić na stojąco? Klękać mi wszyscy! - zakomenderował profesor i - chcąc nam dać dobry przykład sam rymnął na kolana koło katedry.

Pokoiki na ulicy Narutowicza, adaptowane do funkcji sal lekcyjnych, były ciasne, więc przejścia między ławkami, gdzie mogliśmy pokusić się o ukłęknięcie, były zbyt wąskie, aby pomieścić nas w tej pozycji. Więc zaczęło się przepychanie, śmichy-chichy, ktoś stracił równowagę i rymnął jak długi, dziewczyny zaczęły piszczeć - słowem draka, nastrój do śmiechu a nie do modlitwy.

Profesor był wielce zgorzony naszym zachowaniem, chociaż wpływało ono po większej części po prostu z ciasnoty klasy. Sprawa doniosła się potem do dyrektora i Ziela wyperswadował profesorowi zmuszanie nas do klękania, ale sam profesor, jeśli na jego lekcji wypadała modlitwa,

kłękał zawsze na oba kolana, przykładowie, z prostotą i godnością budzącą szacunek.

Natomiast profesjonalista w dziedzinie pobożności, ksiądz prefekt Emilian Skrzecz, nie kłękał podczas modlitwy, za to o wiele częściej niż profesor Hoinka uśmiechał się. Niewielkiego wzrostu, o okrągłej rumianej i wesołej twarzy, której większą część zasłaniały okulary w ciemnej oprawie, wprowadzał nas w dzieje historii kościoła, a nadto uczył pieśni kościelnych na różne okresy roku liturgicznego. Po prześpiewaniu nowo wyuczonej pieśni religijnej ksiądz pozwalał nam czasem zaśpiewać coś świeckiego. Najczęściej wówczas intonowaliśmy piosenkę, której nauczył nas sam ksiądz, jeszcze przed wojną, podczas wycieczki szkolnej:

Na wójtowej roli studzienczka stoi,
Nie widać, nie widać krasnej dziewczki mojej.
Czy ty się mnie boisz, czy ty się mnie wstydzisz,
Ze do mojej studni po wodę nie chodzisz?

Słowa - jak widać - były po linii młodzieżowych zainteresowań, a melodia wdzięczna i łatwa (co osoby nie znające piosenki muszą przyjąć na wiarę). Śpiewaliśmy ją więc chętnie, a ksiądz nam wtórował.

Przez większość wychowanków był ksiądz prefekt szczerze lubiany, byli jednakże tacy, którzy mieli doń żal, że w trakcie dyskusji na nurtujące nas tematy, dotyczące Boga, roli kościoła, życia na ziemi i poza grobem, odpowiedzialności i odkupienia - nie zawsze pozwolił się im wygadać, nie traktował serio ich wątpliwości i zamiast podjąć polemikę, odsyłał ich do lektury księdza Paślawskiego.

Do lekcji, które bywały ozdabiane „przerywnikami wokalnymi” należał także niemiecki, prowadzony przez profesora Januszewskiego, czyli Felka. Felek nie był gejzerem energii, ani człowiekiem żelaznej ręki. Wręcz przeciwnie: był łagodny, dobry i wyrozumiały, toteż nader często wykorzystywaliśmy jego dobroduszość w sposób bezczelny. Na żadnych lekcjach nie robiło się tylu drak i kawałów, co na lekcjach Felka. Miał on zresztą pecha, wykładając język wrogów, co w pewnym sensie predestynowało jego lekcje do swoistego bojkotu, chociaż samego Felka wszyscy naprawdę lubili. Nie miał przy tym Felek zbyt dobrej pamięci, więc wmawialiśmy mu niejednokrotnie, że zadany był wcześniejszy rozdział, że ten, który on wskazuje nie był jeszcze przerabiany. Felek dawał się nabierać i nieraz to samo opowiadanie klepaliśmy po kilka razy w kółko. Kiedy zaś Felek w nagłym olśnieniu nie dawał wiary naszym zapewnieniom i żądał stanowczo odpowiedzi z zadanego materiału, rozpoczynaliśmy błagania, żeby Hesia Jakimiakówna zaśpiewała „Lorelei” ze słowami Heinego. Felek początkowo się sierdził i nie zgadzał, ale na nasze chóralno-błagalne wycie - ulegał, bo lubił muzykę i śpiew, a Hesia miała prześliczny, czysty i dźwięczny sopran, więc Felek słuchał jej z nie mniejszą frajdą jak my.

Inny zgoła nastrój panował na lekcjach biologii i anatomii, które to przedmioty wykładała pani Irena Kowalska. Była to osoba młoda, nie wiele starsza od nas, a przy tym ładna i zgrabna. Była pastelową blondynką o popielatych, zawsze starannie ułożonych włosach i wielkich niebieskich oczach. Nasi koledzy starali się, jak mogli, przybierać w jej obecności pozę nonszalanckich uwodzicieli. Wypinali pierś, stukali obcasami „oficerek” i przeszywali „Przyrodnicę” ognistymi spojrzeniami.

Damską część społeczności klasowej, jak nie trudno się domyślić, krew zalewała na te zaloty chłopaków, więc byłyśmy na nią cięte i śledziłyśmy niezyciwnie każde jej spojrzenie, każdy gest. Stojąc przed klasą musiała czuć nasze świdrujące jak sztylety oczy. Kiedy zatem przyszło do odpowiedzi na stopnie, dziewczyny dostawały z reguły jakiś temat-rzekę: układ krwionośny, albo trawienny czy przemiany materii. Chłopcy mieli w porównaniu z nami jedwabne życie, wykręcając się czymś bez porównania łatwiejszym. Pamiętam, jak jeden z naszych kolegów został wywołany do odpowiedzi na temat pomocy w nagłych wypadkach. Pytanie było z rzędu deserowych, ale - jak się okazało - i to przekraczało zasób wiedzy młodego człowieka.

- No, jakie znasz nagłe wypadki, które wymagają natychmiastowej pomocy? - pyta nauczycielka, aby przerwać przedłużające się milczenie chłoptasia.

- Na przykład, jak się kto skaleczy... - wydusił rewelacyjne spostrzeżenie nasz kolega.

- Świetnie! A jakie mogą być rany? - kontynuuje interesujący egzamin pani profesorka.

- Bite, kłute i szarpane! - odrzekł elew bez namysłu.

Odpowiedź ta przeszła do historii naszej szkoły, czego najlepszym dowodem jest, iż cytuję ją po czterdziestu latach, bowiem zapisała się w mej pamięci na zawsze!

Równie mocno upamiętniły się lekcje rysunków z profesorem Prusakiem, choć powody ku temu były inne w klasie starszej oraz w klasie B, inne zaś w naszej. Tak się złożyło, że wśród naszych starszych kolegów, jak również w wymienionej klasie B - nie było uczniów, których interesowałyby nauka rysunków, zaś osobowość pana Prusaka, złożona z samej dobroci, wyrozumiałości i entuzjazmu dla sztuki - prowokowała do przeróżnych kawałów, drak i wygłupów. Stąd w tamtych klasach na rysunki przygotowywano zawsze jakiś pasztet: a to wystawiono z zawiasów drzwi i kiedy biedny profesor chciał wejść do klasy, odrzwia waliły się na niego; to znów podczas lekcji gaśło na chwilę światło i w otwartych drzwiach klasy ukazywał się w smudze latarki kieszonkowej ludzki szkielet; innym razem co chwila rozlegał się dźwięk struny, rozpiętej pod ławką i potrącanej nogą. W klasie A, czyli w naszej klasie, było inaczej, gdyż było u nas spo-

ro osób, które chciały uczyć się rysunków, więc lekcji z panem Prusakiem nie traktowaliśmy jak dopust boży. Najlepszą z rysunków była Janka Karwowska, która została wierna powołaniu, ukończyła Wydział Rzeźby Akademii Sztuk Plastycznych i wykonała - między innymi - pomnik Mikołaja Reja w Nagłowicach. Jednakże i Basia Gnoińska była w rysunku nader biegła, bo często miewała identyczne z Janką oceny od pana Prusaka, co Janka starała się wytłumaczyć Basi jako wynik niesłychanego roztargnienia profesora. Basia Sierakowska rysowała zachwycające nas wówczas główki dziewcząt, a Stasio Kowalski umiał z pamięci narysować samoloty wszystkich typów. Jak więc widać, klasa była pod względem talentów plastycznych dość wybitna.

Profesor Kordiasz, który przejął dzieło nauczania rysunków po panu Prusaku, przyjął program nieco inny niż jego poprzednik, koncentrując się raczej na grafice użytkowej i rysunku technicznym. Pamiętam, że zaraz na pierwszej lekcji kazał nam narysować ornament z dowolnych elementów roślinnych. Wymyśliłam motyw składający się z lici i owoców kasztanowca.

Profesor, przeglądając nasze prace, powiedział patrząc na moje dzieło:

- Kto by pomyślał, że tak zdecydowany w rysunku motyw jest pracą dziewczyny ... Te twoje kasztany są takie kolczaste ...

Miał pan rację, panie profesorze, coś z tych kolców tkwiło i tkwi nadal w moim charakterze!

Tu muszę wyjaśnić, że profesor Kordiasz nie tylko mój charakter błędnie rozszyfrował. Czytać umiał w młodych duszach jak w otwartej księdze i z wieloma kolegami z naszej klasy był zaprzyjaźniony. Jego stosunek do nas emanował ciepłą atmosferą podczas lekcji rysunków, z których nawet taki antytalent plastyczny jak ja wynieść mógł sporo korzyści. Dopiero rysunek techniczny był moją klęską, bowiem nigdy nie zdołałam opanować tej umiejętności, ale na to nikt na świecie nie byłby w stanie poradzić.

Roboty ręczne z dziewczynami prowadziła w pierwszym roku trwania Kursów pani Kordiaszowa, żona nauczyciela rysunków. Była bardzo lubiana przez nas dla swej bezpośredniości i wesołego usposobienia. Pozwalała nam na lekcjach robót czytać głośno powieści lub poezję, a nawet dopuszczała popisy wokalne. Ich wykonawczyniami były: Hesia Jakiemiakówna - solistka (jeśli tak można rzec) z lekcji niemieckiego oraz Basia Stawiszyńska.

Basia miała tembr głosu, który dziś byłby bardzo ceniony w dyskotekach: lekko schrypnięty, ale miękki i sugestywny, bardzo plastycznie oddający nastroje. Stąd jej repertuar stanowiły kawałki bardzo rzewne, często o zabarwieniu patriotycznym. Wszystkie słuchałyśmy więc Basi, ogromnie przeżywając słowa pieśni, tylko Wanda Pawełczyńska absolut-

nie nie podcławała się tamtym nastrojom, klarując nam, że żadne tam romantyczno-sentymentalne faramuszkki nie robią na niej najmniejszego wrażenia.

W następnym roku roboty ręczne przejęła po pani Kordiaszowej (która odeszła na urlop macierzyński) pani Helena Gołębiowska. Od razu rozszefrowaliśmy, że praca z nami była dla niej pionierskim trudem na niwie pedagogicznej. Ale i ona miała dużo wdzięku, pozwalała na czytanie w czasie lekcji robót, więc zapanowała obopólna sympatia, zabarwiona z naszej strony lekką domieszką protekcjonalności. Imponowała nam natomiast eksperycją w zakresie robót ręcznych tym bardziej, że chętnie i cierpliwie starała się nauczyć nas owej „zwinności rąk” podnoszącej walory rodu kobiecego od epoki kamienia łupanego aż po erę energii atomowej i sputników.

O przedstawionej powyżej galerii portretów naszych pedagogów na tak zwanych Kursach Przygotowawczych do Szkół Zawodowych II Stopnia - Teo Pytkowska (de domo Jakubowska) powiedziała, że mogłby to być z powodzeniem fragment żywotów świętych. To prawda, że przemilczałam tu i ówdzie niektóre belferskie słabostki i fakty z biografii, onego czasu szeroko komentowane przez brać uczniowską. Wychodzę jednak z założenia, że „o nieobecnych dobrze, albo wcale”, większość zaś z opisanych tu nauczycieli jest wśród nas nieobecna na zawsze. Ponadto dawali nam z siebie to, co najlepsze i na tym skoncentrowałam moje „szkiełko i oko”.

Klasa A, do której uczęszczałam, jedna z dwóch równoległych młodszych, przedstawiała pod względem składu uczniowskiego kolekcję bardzo zróżnicowaną, nader ciekawą i wartą przypomnienia.

Mimo różnicy zainteresowań, poziomu i zdolności poszczególnych jednostek, stanowiliśmy - jak to już wspomniałam - społeczność żywą, solidarną i lubiącą się. Z grubsza biorąc, wyodrębnić można było w naszej klasie trzy zasadnicze grupy. Pierwszą z nich była elita intelektualna najlepszych uczennic (bardziej liczna) i uczniów (o wiele skromniejsza liczebnie). Drugą stanowiły osoby raczej bez większych aspiracji w nauce, ale także bardzo równe, koleżeńskie i lubiane.

Osobny klan, wyodrębniający się na zasadzie innego kryterium, stanowili koledzy z tak zwanej „remizy”. Byli to chłopcy, którzy podjęli pracę w miejscowej straży pożarnej. Zajęcia ich polegały głównie na dyżurach właśnie w owej słynnej remizie. Dawało to - obok zarobku, co było nie do pogardzenia dla uczniowskiej kieszeni - również „Ausweis” - zaświadczenie o pracy i to mocne, „z gapą”, mogące w razie łapanki stanowić skuteczną ochronę przed wywiezieniem na roboty do Niemiec. Nie da się jednak ukryć, że praca w straży nie była pensjonatem dla maminsynek ani salonem dobrej cioci. Aby się utrzymać wśród okupacyjnych rycerzy świętego Floriana, trzeba było mieć mocne pięści i w razie potrzeby

umieć zrobić z nich użytek, jak również mocną głowę, aby - w razie poczęstunku w postaci bimbru - nie zwalić się z nóg. Więc nasi koledzy pracujący w remizie, w porównaniu z innymi, wydawali się doroślejsi, tacy „męscy”, kurzący po kątach papierosy i noszący w większości wypadków długie oficerskie buty, szczyt chłopczyńskich marzeń w latach wojny, a także symbol przynależności do ruchu oporu, w którym była zaangażowana niemal cała młodzież pruszkowska, należąc w większość do Armii Krajowej lub podejmując pracę w Szarych Szeregach.

Mimo opisanych wyżej odrębności, klasa nasza w razie potrzeby potrafiła występować solidarnie. Tak było, na przykład, w dzień Zaduszny, kiedy to wraz z Zosią, czyli panią Steffenową, udaliśmy się na cmentarz tworkowski, gdzie dekorowaliśmy groby polskich Żołnierzy poległych podczas Września.

Ustaliliśmy także niepisaną umowę, że nie będziemy kupować kwiatów z okazji imienin naszych nauczycieli, lecz pieniądze na tę okoliczność zebrane będziemy wpłacać na pomoc dla więźniów Pawiaka. I przy tym zwyczaju pozostaliśmy do końca trwania Kursów. Na podobny cel przeznaczony był także dochód ze sklepiku szkolnego. Sklepik nasz mieścił się w przepastnych kieszeniach Lalki Cichockiej, cały zaś towar stanowiły cukierki toffi lub irysy, które Lalka kupowała w cukierni pani Wiśniewskiej na kilogramy, a następnie sprzedawała je nam na sztuki. Dochód, uzyskany tą drogą, Lalka regularnie wpłacała na rzecz polskich instytucji patriotackich sprawujących pieczę nad więźniami politycznymi.

Nasza solidarność nie zawsze jednak dotyczyła zbożnych poczynań. Pamiętam, że kiedyś zachorował ktoś z ciała pedagogicznego i powstało tak zwane „okienko”, czyli wolna godzina między dwoma lekcjami. Dyrektor kazał nam poczekać, ale nas coś ogarnęło i postanowiliśmy iść na wagar. I rzeczywiście: poszliśmy całą klasą, za wyjątkiem Janki Karwowskiej, która miała dość odwagi, aby przeciwstawić się wszystkim. Dopiero dziś można ocenić, jak lekkomyślne to było z naszej strony: pojechaliśmy mniej więcej dwudziesto osobową grupą kolejką EKD (wówczas tak się zwała) do Komorowa. Tam, znowu całą bandą, łaziliśmy po lesie śpiwając i wygłupiając się hałaśliwie. A przecież Niemcy, pilnie węszący za wszelkimi przejawami organizacji, zwłaszcza wśród młodzieży, mogli nas zagarnąć jak nic! Chwała Bogu, że mimo braku rozumu, dopisało nam szczęście, zaś Jance trudno odmówić charakteru.

Wiosną 1941 roku, kiedy pierwszy rok szkolny funkcjonowania Kursów miał się ku końcowi, spadła na Pruszków klęska, wobec której kontynuacja nauki w „grodzie nad Utratą” wydawała się problematyczna. W przededniu rozpoczęcia działań wojennych przeciw Związkowi Radzieckiemu Niemcy skoncentrowali na terenie Generalnej Gubernii, a także i Pruszkowa, poważne ilości wojska. W związku z tym zajęto dla potrzeb Wehrma-

chtu wszystkie budynki szkolne, między innymi dom przy ulicy Narutowicza, gdzie znalazły przytulisko nasze Kursy. Wynalezienie lokalu dla szkoły podczas okupacji - wydawało się czymś z pogranicza cudu. A jednak! Z pomocą przyszedł nasz prefekt, ksiądz Skrzecz, pełniący na Kursach funkcję zastępcy dyrektora Zielińskiego. Przy jego poparciu i staraniu ówczesny proboszcz parafii świętego Kazimierza, ksiądz Edward Tyszka, udostępnił dla potrzeb Kursów podziemny kościół.

Rozpoczęła się nauka w niecodziennych warunkach. Do dyspozycji uczącej się młodzieży oddano dwie sale: mniejszą i większą, służące uprzednio za tak zwane sale parafialne, gdzie odbywały się przedstawienia (na przykład Jasełka), prelekcje i spotkania z parafianami. Sale te były wyposażone w ławki dostosowane jedynie do siedzenia, nie zaś do pisania. Zatem notować, rysować i rozwiązywać zadania musieliśmy na kolanach lub plecach siedzącego rząd bliżej kolegi. Mniejszą salę zajęła starsza grupa, większą wykorzystywały wspólnie dwie młodsze klasy.

Kaprysy wiosennej pogody sprawiały, iż początkowo zarówno uczniowie jak nauczyciele nie rozstawiali się podczas lekcji z paltami. A kiedy słońce zaczęło już na serio przygrzewać, w związku z czym piwniczny chłód panujący w salach dolnego kościoła stawał się nie do wytrzymania, lekcje przeniesiono na świeże powietrze, czyli na plac wokół kościoła. Na słońcu było ciepło i przyjemnie, lecz wiosenne słońce rozleniwiało, ogarniała senność i ociężałość myśli. Te nastroje zmieniały wysiłki profesorów, pragnących zainteresować wykładem, w trud iście syzyfowy.

W takich to niecodziennych warunkach, lecz po rzetelnym przerobieniu programu, nadeszły wakacje 1941 r. będące ukoronowaniem pierwszego roku działalności Kursów Przygotowawczych do Szkół Zawodowych II Stopnia w Pruszkowie. Rok ów przyniósł starszej grupie kursantów tak zwaną „małą maturę”. W tym momencie kończyła się dla nich możliwość oficjalnego dalszego kształcenia się.

W Pruszkowie istniały dotąd komplety niższych klas gimnazjalnych, prowadzone, jak pisałam już uprzednio, przez panią Aleksandrę Gruszczyńską, profesora Stanisława Moczulskiego, a potem również przez siostry Niepokalanki, które uruchomiły gimnazjum żeńskie pod płaszczykiem nauki szycia. Prowadzenie zajęć na kompletach gimnazjalnych nie naręczało większych trudności, gdyż w owym czasie budynki wszystkich niemal szkół podstawowych zajmowali Niemcy i uczniowie tych szkół skazani byli na odbywanie lekcji w różnych zastępczych pomieszczeniach, między innymi także w mieszkaniach prywatnych. Nie trudno więc było w tych warunkach przemycić komplety niższych klas gimnazjum, mogących uchodzić w oczach Niemców za szkołę podstawową. Uruchomienie kompletów licealnych wymagało większej ostrożności, gdyż starsza młodzież bardziej rzucała się w oczy w tak niewielkim mieście jak Pruszków, a nad-

to istniała zawsze groźba łapanek ulicznych, których ofiarami padali wszyscy zdolni do pracy powyżej osiemnastego roku życia. Lecz i tę trudność pokonała energia naszego Sokolego Oka vel Ziela.

Jesienią 1941 roku podjęły pracę pierwsze na terenie Pruszkowa komplety licealne: jeden o kierunku matematyczno-fizycznym, drugi typu humanistycznego. Komplet matematyczno-fizyczny stanowili następujący uczniowie: Roman Chojnacki, Ryszard Eugeniusz Kamiński, Włodzisław Andrzej Rembalski i Zdzisław Olcha Zaborski. W skład kompletu humanistów weszli: Stanisława Kwiatkowska, Zofia Krystyna Piotrowska, Teresa Zofia Przeszkodzińska, Marian Ryszard Pytkowski, Anna Stefania Rembalska i Andrzej Stanisław Ksawery Stelmachowski, a w jakiś czas potem przyłączył się także Zygmunt Andrzej Stanisław Soczek, przybyły z Piotrkowa.

Nauczanie na wymienionych kompletach wzięli na swe barki: Bohdan Zieliński - dyrektor tajnego nauczania - geografię, ksiądz Emilian Skrzecz - religię, ksiądz Lucjan Wilhelm - religię i język niemiecki, Zofia Steffenowa - język polski, Franciszek Januszewski - język niemiecki, łacinę i propedeutykę filozofii, Bronisława Budziszewska - matematykę i fizykę, Jadwiga Hawryłkiewicz - biologię, Leon Ostrowski - matematykę. Zebranie informacyjne, na którym ustalono plan zajęć obu kompletów oraz podano adresy domów, gdzie miały się odbywać zajęcia - miało miejsce w mieszkaniu kolegi Zaborskiego. Od tego dnia dla garstki młodzieży pruszkowskiej zaczęło się nowe życie, wyznaczane przez zajęcia na kompletach, pracę w organizacjach konspiracyjnych, do których większość należała i pracę zarobkową.

Zaangażowanie młodzieży w ruch oporu (głównie w szeregach AK i Szarych Szeregach) sprawiało, że czas oczekiwania na rozpoczęcie lekcji, jak również czas po lekcjach, poświęcano na dzielenie się wiadomościami z prasy konspiracyjnej lub nasłuchu radiowego. Ze wzruszeniem i satysfakcją, jakiej nie potrafią zrozumieć przedstawiciele powojennych pokoleń, wysłuchiwało się komunikatów o wydarzeniach na froncie afrykańskim, na Bliskim Wschodzie i na wyspach brytyjskich, w Związku Radzieckim i na Oceanie Atlantyckim. Jeśli uświadomimy sobie, że dzień w tamtych czasach kończył się z nastaniem godziny policyjnej, to jest o ósmej wieczorem - zrozumiemy, jak niewiele czasu pozostawało młodzieży okupacyjnej dla siebie, na skromne przyjemności, na zajęcia nie wypływające z jakiegoś obowiązku. Zresztą lista rozrywek dostępnych w owych czasach była nader uboga. Można było pójść na spacer z sympatią (o ile nie było „cynku” o planowanej łapance), poczytać książkę, potańczyć przy adapterze (ale cicho, żeby Szkopy nie usłyszeli), posłuchać koncertu z płyt. Tu czuję się w obowiązku wspomnieć koncerty, które urządzał w swojej firmie inżynier Ignacy Dobrowolski, wspomniany już przeze mnie uprzednio wychowanek Gimnazjum Zana. Pracownicą firmy, produkującej głównie namiastki herbaty i to herbaty z cytryną lub rumem („Herbacyt” i „Herbarum”), była Dzikka Gnoińska,

starsza siostra Basi - koleżanki z naszej klasy. Inżynier Dobrowolski dysponował przepiękną płytoteką muzyki poważnej i operowej, a będąc człowiekiem wielkiego serca i obywatelskiej postawy, zdecydował się udostępnić młodzieży pruszkowskiej swoje skarby polihymnii i wokalistyki. Oczywiście, trzeba było robić to ostrożnie, jak wszystko zresztą podczas okupacji, gdyż Niemcy potrafili rozprawić się skutecznie z przejawami wybujałej inwencji. Zatem na koncerty z płyt do sklepu inżyniera Dobrowolskiego schodziliśmy się po kilka osób, zapraszani przez Dzikę Gnoińską, która odpowiadała za to, żeby towarzystwo nie było zbyt liczne, co mogłoby zwrócić uwagę „tymczasowych”. Zbici w ciasną gromadkę słuchaliśmy arcydzieł muzyki w wykonaniu słynnych wirtuozów, orkiestr światowej sławy i najlepszych śpiewaków. Były to dla nas, pozbawionych przez Niemców prawa do życia kulturalnego, chwile niezapomniane, budzące dzisiaj wdzięczną pamięć o koledze Ignacym Dobrowolskim.

Do wydarzeń, które trwale zapisały się w pamięci byłych kursantów, należy niewątpliwie choinka w 1941 roku. W przeddzień uroczystości nie było już lekcji, bowiem ćwiczyliśmy kolędy. Zdzisio Brzeziński przyniósł do szkoły skrzypce i przy ich akompaniamencie śpiewaliśmy na wszystkich lekcjach bożenarodzeniowe kantyczki, a między innymi jedną całkiem dla nas nową:

Przystąpmy do szopy, uściskajmy stopy
Jezusa malarzkiego,
Który swoje bóstwo przyodziął w ubóstwo
Dla zbawienia naszego.

Aktualnie kolęda ta jest dość popularna i w okresie świąt Bożego Narodzenia można ją usłyszeć bądź w telewizji, bądź przez radio. Ale ilekroć ją słyszę, zawsze widzę naszą klasę na ulicy Narutowicza, trochę ciemną w tamto grudniowe wczesne popołudnie, wszystkich okutanych w palta, bo akurat wtedy zabrakło węgla, Zdzisio Brzeziński stoi ze skrzypcami pod brodą, i cała klasa śpiewa. Cały ten dzień prześpiewaliśmy. Jak wyczerpał się repertuar kolęd, zabraliśmy się do pieśni i piosenek całkiem świeckich. Profesorowie też śpiewali. „Felek”, czyli profesor Januszewski, odśpiewał nawet przed całą klasą pieśń ze swoich szkolnych lat do słów Słowackiego „Hej, daleko Czarne Morze”.

Nazajutrz zaś odbyła się choinka. Na środku klasy, uprzątniętej z ławek, stało piękne drzewko ubrane w anielskie włosy, łańcuchy bibułkowe i zimne ognie. Odśpiewaliśmy kilka kolęd i wkroczył Henio Pałka, któremu powierzono rolę świętego Mikołaja. Najpierw otrzymywali prezenty profesorowie. Dyrektorowi Zielińskiemu dostała się torebka grochu, żeby porzucił nim o ścianę zamiast nam prawić morały. Profesor Kordiasz, który niedawno został szczęśliwym ojcem, otrzymał napisany przez nas „poradnik” pod tytułem „Co każdy młody ojciec wiedzieć powinien”, zawierający szereg porad z zakre-

su pielęgnacji niemowlęcia, na przykład na temat kąpeli: „...jeśli dziecko zanurzone w wodzie stanie się czerwone - znak to, że woda zbyt gorąca, jeśli zsinieje - woda za chłodna ...”, i tak dalej.

Potem kolejno uczniowie z naszej klasy dostawali jakieś prezenty-aluzje.

Teofila Jakubowska, znana z ciętego języka, który niejednemu zalał sałatę za skórę, została obdarowana historyjką obrazkową o dydaktycznym wydźwięku pod tytułem „Kto mieczem wojuje...”. Historyjka składała się z dwóch rysunków; na jednym widać było naszą Teo, jak miota w przeżarty tłum czerwonym językiem, rysunek drugi przedstawia Teo leżącą plackiem, przywaloną ogromnym czerwonym jęzorem, który - jak można się domyślić - wrócił do niej niby bumerang. O ile jednak wiem, dydaktyzm tej historyjki nie zdołał zachwiać podwalinami charakteru naszej koleżanki. Prezenty gwiazdkowe w tym stylu otrzymali prawie wszyscy koledzy z naszej klasy. Piszę „prawie wszyscy”, gdyż ja prezentu nie dostałam, bowiem Henio, pełniący funkcję świętego Mikołaja, miał wówczas ze mną na pieńku i postanowił się odkuć. I udało mu się to: trafił mnie w samo serce, bo było mi ogromnie przykro przez to pominięcie. Ale zauważyli to również koledzy i - sądząc, że rzecz polega na Heniowym roztargnieniu, poczęli dopominać się prezentu dla mnie. Wtedy Henio wyrecytował:

- Dla Zosi Łosiewicz przewidzieliśmy kameleona, bo jest równie zmieniana jak on, ale że teraz zimno - na razie dajemy jej radę, żeby rzadziej zmieniała swoje zabawki!

I tak to Henio zrobił mnie „na szaro” w dniu poprzedzającym święta pojednania! Cóż, w myśl zasad sportowych „odkuwać się wolno”, musiałam mu przyznać prawo do odwetu. Kiedy teraz, po tylu latach wspominałam tamtą okupacyjną choinkę w szkole, stwierdzić muszę, że już nigdy potem żadna choinka nie miała dla mnie takiego uroku, takiej niepowtarzalnej atmosfery co właśnie tamta, nad którą zawisnął, jak groźne memento, cień kameleona.

Minęły święta i nadszedł nowy, już trzeci okupacyjny Nowy Rok 1942, niosący dalszy odpływ młodzieży z Kursów. Już w momencie ich uruchamiania zakładano, że młodsza grupa uczyć się będzie tylko półtora roku, czyli do stycznia 42 roku. Jednak władze zezwoliły na przedłużenie egzystencji Kursów do końca roku szkolnego. Z drugiej strony wielu uczniom zależało na wcześniejszym uzyskaniu „małej matury”. Dyrektor Zieliński znalazł więc złoty środek: ci, którym było pilno opuścić mury szkolne, otrzymali świadectwa ukończenia czterech klas gimnazjum już w styczniu, reszta, stanowiąca prawie połowę składu uczniowskiego, została połączona w jedną klasę i kontynuowała zajęcia na Kursach. Powstała w ten sposób nowa klasa, nowa społeczność. Odeszło wielu kolegów, z którymi byliśmy zżyci, których indywidualność rzutowała na atmosferę klasy,

przydając jej blasku i kolorytu. A więc opuścili szkołę przede wszystkim koledzy „z remizy”: Maciek Abramowski, Adam Kunowski, Stacho Wenerowicz, Bohdan Niechwiadowicz, Jurek Stochlak. Rozstali się z nami również koledzy z technikum mechanicznego, uzupełniający na Kursach przedmioty ogólnokształcące. Zakończył edukację nasz super intelektualista i poeta klasowy - Jurek Waściński, przedmiot westchnień prawie całego klanu intelektualistek z naszej klasy. Bo też umiał Jurek rozniecać zainteresowanie swoją osobą! Zawsze dość milczący, trzymający się nieco z dala od reszty klasy, tylko od czasu do czasu zabierał głos, ale za to bardzo konkretnie, zręcznie wplatając cytaty z dzieł filozoficznych i innych. Nosił nieodmiennie granatowy garnitur, zawsze świeży i odprasowany, trzymając się bardzo prosto mimo dość astenicznej budowy. Nie dbał też zgoła o powszechne uwielbienie koleżanek, śląc tęskne spojrzenia tylko w kierunku Halinki Kowalikówny. Nie był zresztą w zainteresowaniu Halinką odosobniony: miłość do niej przechodziła większość kolegów z klasy, zupełnie jak odrę w dzieciństwie.

Halinka zaś była zmienna w nastrojach i reakcjach, jak pogoda w marcu. Czasami kipiała wprost humorem, zarażając nim wszystkich, by ni stąd ni zowąd popaść w milczącą melancholię, której krańcowym wyrazem był rzewny płacz pod ławką. Była więc osobowością dostatecznie bogatą i tajemniczą, a poza tym miała nader zgrabną figurkę, żywe szare oczy, w których tańczyły i skrzyły się wesołe iskierki oraz aspiracje intelektualne polegające na pochłanianiu literatury naukowej z różnych dziedzin. Halinka, która oficjalnie zakończyła edukację gimnazjalną już w styczniu, przychodziła jednak dość często do nas na lekcje w charakterze swego rodzaju „wolnego słuchacza”, przy czym jej obecność była bardzo różnie przyjmowana przez nauczycieli. Tak więc Halinka była właściwie nadal z nami, budząc mieszane uczucia. Niektóre dziewczyny zazdrościły jej po trosze, inne szokowała swoimi wyskokami, ale nie wyobrażam sobie, aby ktoś mógł nie lubić jej, miała bowiem masę wdzięku, oczywistego nawet dla rywalek.

Pożegnały nas natomiast inne koleżanki: papużki-nierozłączki czyli Janka Wenerowiczówna i Danusia Grudzińska, Anka Szymańska, Lusja Wysmótkówna, Basia Sierakowska, Irena Wilczkówna, Hesja Jakimiakówna, Halina Buszkówna i Basia Stawiszyńska. Trzy ostatnie koleżanki prosto z ławy szkolnej pospieszyły zapalić pochodnię Hymenu. Początkowo było bez nich jakoś smutno, tym bardziej, że Hesja - jak to wspominałam uprzednio, umiała nam życie szkolne i nierzadko wybawiała od przepytывania przy pomocy swego pięknego głosu. Podobnie rzecz się miała i z Basią Stawiszyńską, która brylowała śpiewem oraz deklamacją wierszy o treści z reguły dość łzawej i romantycznej, co nie wszystkim odpowiadało, lecz

jej występy miały wielu entuzjastów. Jednak życie biegło naprzód i trzeba było przywyknąć do okrajanego składu klasy, co ułatwiał fakt wzbogacenia się naszego grona o przybyszów z klasy B.

Była więc wśród nich Irena Dumkiewiczówna, która w owym czasie przeżywała tak wielką fascynację Żeromskim, że czytała go prawie bez przerwy, za wyjątkiem tych momentów, kiedy była wzywana do odpowiedzi. Mimo to jednak zdołałyśmy się zaprzyjaźnić na stałe, a nasza sztama przetrwała do dnia dzisiejszego. Niecodzienną postacią była także Irena Kułakowska, która dla odmiany bez przerwy robiła na drutach. Miała Irenka niemały talent w tym kierunku, bo wykonywanych przez nią swetrów nie powstydziliby się nawet dzisiejsza Cepelia.

Nie brakowało także wybitnych talentów i wśród nowo przybyłych chłopców. Na przykład Zdzisio Brzeziński pięknie grał na skrzypcach i fortepianie. Andrzej Izdebski, zwany Dyziem (od swawolnego Dyzia), potrafił rozdokazywać całą klasę. Często też podczas lekcji rozlegał się jego pseudo płacziwy głos z ostatniej ławki:

- Pani profesorko, Moryc zabrał mi kajeta!

A Moryc, czyli Włodek Palczewski, stanowił oddzielny rozdział w życiu klasy, o jego nieprzeciętnym poczuciu humoru wspominałam już wcześniej. Siedząc na jednej ławie z Dyziem stanowili pod względem urody dwa przeciwieństwa: Dyzio był niewysokim, szczupłym jasnym blondynem o niebieskich oczach i niewinnej minie, typowy „z cicha pękł”, Moryc był wysokim szatynem o wielkich ciemnych oczach i zawsze zwichrzonej czuprynie. Patrząc na niego odnosiło się wrażenie, że każdy włos na jego głowie, każde oko z osobna i każda cząstka twarzy - wprost zarykują się ze śmiechu. Moryc nigdy nie miał, bo nie mógł mieć, poważnej miny. Jego pomysły, odzwania się, kawały - miały swój specyficzny styl, tchnęły radością życia, kipiły humorem i nigdy nie było w nich oni cienia brutalności. Kiedyś - ledwie zaczęła się lekcja - drzwi do klasy za plecami profesora bezszelestnie uchyliły się - i wpadła do klasy kawka. Kiedy indziej Moryc przytaszczył w rękawie zaskrońca, innym razem wiewiórkę, to znów pudełko pełne chrabąszczy, nie mówiąc już o takich drobiazgach jak żaby różnego kalibru i koniki polne. Mieliśmy więc nie lada zabawę z Morycem, niezmordowanym w kawałach przez całe swoje zbyt krótkie życie.

Nadszedł maj, a wraz z nim imieniny pani Steffenowej, której tyle zawdzięczaliśmy niezapomnianych chwil na lekcjach polskiego. Postanowiliśmy więc uczcić ten dzień okolicznościową „jednodniówką”. Do roboty zabrały się prawie same dziewczyny, gdyż w nowym składzie klasy było mniej luminarzy polskiego wśród chłopców. Prace napisane przez nas pozwoliły wydać dość pokaźny skrypt odbity z niemałym trudem na prymitywnym powielaczu. Autorkami prac prozą, które składały się na owe imieninowe wydawnictwo, były: Wanda Pawełczyńska, Basia Gnoińska,



Cztery Barbary z „Kursów Przygotowawczych”:
od lewej - Sierakowska, Stawiszyńska, Gnoińska i Woźniakowska

Danka Zawrocka, Teofila Jakubowska i ja - Zocha Łosiewiczówna; okolicznościowy wiersz napisał do naszej jednodniówki Heniek Pałka, jedyne męskie pióro w jednodniówce.

Jednodniówka na cześć pani Steffenowej była ostatnią przed zakończeniem roku szkolnego inicjatywą naszej klasy. Pozostało nam już tylko pożegnać się ze szkołą, w której spędziło się dwa lata górne, chmurne, lecz pełne nadziei, koleżeństwa i radości trwania wbrew wszystkim zasadzkom losu. Nie było wątpliwości, że rozstajemy się z najpiękniejszym, mimo wszystko, rozdziałem naszego życia, więc było nam ciężko na sercu.

Pamiętam ostatnią lekcję polskiego, oczywiście przegadaną w całości, głównie na temat „i co dalej?”. Siedziałyśmy z Baską Woźniakowską - jak za zawsze - na pierwszej ławce w rzędzie pod oknem i nie mogłyśmy uwierzyć, że od jutra rozsypie się cała nasza klasowa społeczność. Jeszcze tak niedawno, siedząc na teźże ławce, wykazywałyśmy tyle inwencji, żeby rozśmieszyć wyrwanych do odpowiedzi, a w przededniu małej matury popłakiwaliśmy ukradkiem, w czym sekundowała nam cała żeńska część klasy.

W dniu rozdania świadectw dyrektor Zieliński dostał od nas albumik składający się z tylu kolorowych kartek, ilu uczniów liczyła klasa. Każda z tych kartek zawierała coś „od serca” dla Ziela, który przejął w tych najtrudniejszych czasach ster naszej edukacji.